

DODATEK LITERACKI

DO „DZIENNIKA WILEŃSKIEGO“.

Władysława Mickiewicza

literackie prace i zasługi.

W sześćdziesięcioletniej z górą działalności literackiej Wł. Mickiewicza uderza na pierwszy rzut oka, że pisarz ten, syn jednego z najwyższych poetów świata, wychowany w epoce i środowisku kultu wielkiej poezji, pojmowanej jako najwyższa forma emanacji ducha, że on sam poetą przecież nie był, być nim nawet przez chwilę nie próbował; nie wiemy nic o jakichś jego choćby próbach poetyckich czy powieściowych. Dorobek jego literacki wykazuje długi szereg wyłącznie rozpraw historyczno-literackich, studjów biograficznych itp. Stosunek Wł. Mickiewicza do literatury wydaje się raczej bierny, kontemplatywny, aniżeli czynny, współtwórca. Tak się wydaje istotnie, ale tylko na pierwszy rzut oka. Zadaniem poniższych kilku uwag przygodnych będzie właśnie stwierdzenie, że w rzeczywistości było nieco inaczej.

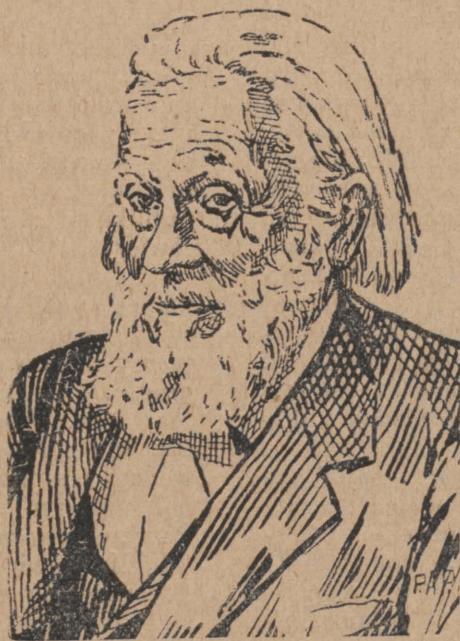
Przedewszystkiem jeśli chodzi o samą indywidualność pisarza, o typ jej uposażenia twórczego, o jej zdolność macierzystą, to ktokolwiek się spotkał z Wł. Mickiewiczem, wie, że posiadał on pewien specyficzny talent literacki w stopniu wybitnie wysokim: był on niepospolitym gawędziarzem. Talent ten kwitnie podobno szczególnie w Polsce, przejawiał się w literaturze staropolskiej, wspaniałym przedstawicielem jego był Pasek.

Jako osobny rodzaj literacki wprowadził gawędę w piśmiennictwo H. Rzewuski, a wpięć jeszcze nadał jej najwyższy indygenat, do godności epopei podźwignął ją Mickiewicz w *Panu Tadeuszu*. Syn twórcy *Pana Tadeusza* odziedzi-

czył po Ojcu upodobanie i uzdolnienie do gawędy. Bystrość obserwacji, niesłychana, z wiekiem bynajmniej nie słabnąca pamięć, wielkie pogotowie słowa i lotność dowcipu sprawiały, że Wł. Mickiewicz, zahaczywszy o przeszłość, miał co opowiadać, opowiadać lubił i w tych przygodnych anegdotach historycznych przechował całą świeżość i urok czasów swej młodości. Dla emigracji polskiej była to poprostu „kronika żyjąca krajowa“. Jest nadzieja, że cały ten suty plon gawęd o przeszłości wychodźstwa polskiego we Francji nie zginął ze śmiercią Władysława Mickiewicza, że zachowały nam go i przekażą dziejom kultury pozostałe w puściźnie po Zmarłym pamiętniki, których tom pierwszy właśnie dopiero co opuścił prasę. Twórczy talent narratorski autora ujawni się w nich niewątpliwie w całej pełni.

Ale i w całej ogromnej reszcie służby Wł. Mickiewicza literaturze polskiej pochwyć można również ów pierwiastek aktywny, twórczy. Literatura była dlań zawsze żywym organem duchowego życia narodu i tak się stale wobec niej ustawiał.

Przez długi szereg lat był Wł. Mickiewicz księgarzem-wydawcą. Zadanie swe pojął on i wykonał osobiście. Księgarnia polska w Paryżu była dlań jakby rodzajem ambasady ducha polskiego, mającej na pieczy swoich i obcych. Podjąwszy wydawnictwo taniej „Biblioteki Ludowej Polskiej“, emigracji, dzieciom polskim na obczyźnie dostarczał wyborowej lektury, podtrzymywał tem narodowość, podmywaną przez



szkołę obcą i przez otoczenie; od Kochanowskiego i Skargi aż po Krasińskiego zbierał słowo żywiące i podsuwał je współpielgrzymom.

Jako wydawca mógł on w inny jeszcze sposób działać ożywczo na twórczość polską. Miał być jeszcze naówczas koło siebie w Paryżu szereg współtwórców wielkiej epoki poezji naszej, nierzadko pogrążonych w ostatecznej nędzy i w zapomnieniu; wydanie tego czy owego z ich dzieł było nie tyle interesem księgarskim, ile szlachetną formą przyjscia twórcom z pomocą. Nie cofał się i przedtem Wł. Mickiewicz; w ten sposób doszło do ogłoszenia *Posłania do Polski* Goszczyńskiego i *Rzeczy o wolności słowa* najmniej już popularnego i pokupnego Norwida.

Zakres działania księgarni-ambasady nie ograniczał się przecież do swoich tylko. Chodziło i o obcych i to w równej co najmniej mierze. I tu nie zależano pola. Księgarnia Luksemburska Wł. Mickiewicza, chcąc krzewić we Francji znajomość literatury polskiej, wydała cały szereg dzieł w przekładach. Nie mówiąc o dziełach A. Mickiewicza, ukazały się w ten sposób tłumaczenia utworów Rzewuskiego, Kraszewskiego, Orzeszkowej, wszystkie ważniejsze dzieła Z. Krasińskiego. I wszędzie tam nie tylko nakład, ale i przekładów dokonał sam Wł. Mickiewicz. Służbę w zaciągu literatury polskiej pełnił on bez znużenia, czynnie przykładał się do jej rozrostu, rozpowszechniał ją wśród swoich, torował jej drogę do obcych.

Nie dosyć tego. Również i w owej pracy, którą sobie pożytywał za główną, której poświęcił prawie całe swe życie, a napewno całe serce, w pieczy nad dziełami i nad pamięcią Ojca, i tam także będziemy w stanie wykazać ów charakterystyczny żywotwórca pierwiastek. Nie chyba nie było bardziej obce Wł. Mickiewiczowi, niż jakiegokolwiek smakoszostwo literackie, rozlubowanie się w czystym estetyzmie. Od ojca swego, od piastunki swej, epoki romantycznej przejął on zasadnicze swe *credo* wytyczne: Literatura, poezja zwłaszcza, jest kwiatem, ale i nasieniem życia duchowego i z tego stanowiska musi być uważana przedewszystkiem. Nie inaczej też traktował ją sam w swej wyjęzionej długoletniej działalności dla wiedzy o Mickiewiczu.

Kiedy do niej przystępował przed laty prawie 60, była to dziedzina mało co jeszcze uprawna; prace zarówno biograficzne jak i estetyczno-literackie nad twórczością poety były nieledwie w zaczątkach. Co więcej: wszelkie rachuby ludzkie mogły mówić, że zajmowanie się tą twórczością wówczas właśnie jest podjęciem conajmniej niewczesnem. Po roku 1863 zbankrutowały hasła wielkiej poezji romantycznej, więc zdawałoby się — również i hasła pierwszego jej chorążego. A szczególnie zaś niestosowne się wydało pokoleniu trzeźwego myślenia mówić o ideach Mickiewicza z ostatniego okresu, z epoki mistycyzmu i towianizmu. Okrzyczano ją przecież powszechnie za pożalowania godny upadek genjuszu, wprost za okres obłędu, o czym przez szacunek dla poprzedniej twórczości poety mówiło się tylko cicho i z ubolewaniem; mówić głośno, — wydało się prosto nietaktem. To też komisja opiekuńcza

spisawszy po śmierci poety pozostałą puściznę rękopiśmienną, zamknęła na cztery spusty autografy listów i przemówień Mickiewicza z tej epoki.

Nie uląkł się tej niewczesności Wł. Mickiewicz. Za cel życia postawił sobie odrazu: pokazać Polsce i światu prawdziwego Mickiewicza i całego Mickiewicza; dzieła tego, jak dobrze wiemy, dokonał całkowicie. Jednym z pierwszych jego kroków na tem polu było, że zdjął areшт z materiałów epoki towianizmu, wyjawiał *Wspóludział A. Mickiewicza w sprawie A. Towiańskiego* (1877). „Przedstawiamy ten nowy zbiór — pisał w przedmowie — w nadziei, że niejeden z rodaków, rozczytawszy się w nim, pożałuje może surowych sądów i namiętnych napaści, niegdyś miotanych tak obficie“.

Nie zadowolnił się przecież Wł. Mickiewicz wydaniem tego, co miał w domu. Równocześnie zaczyna wytrwale, przez dziesiątki lat trwające poszukiwania rozproszonej puścizny ojca. Pisząc i jeżdżąc, wypraszał i wykupywał to od przyjaciół jego, to od ich spadkobierców, to wreszcie wygrzebywał wprost po antykwaryjatakach autografy, wiersze, listy, zapiski A. Mickiewicza. Wszystko umieszczał wnet w ponawianych raz po raz zbiorowych wydaniach pism Ojca. Śmiało można powiedzieć: cała prawie pośmiertna puścizna literacka A. Mickiewicza, od *Konfederatów Barskich*, aż po *Trybunę Ludów* ocalała wyłącznie dzięki zabiegom syna. Tytuł przymnożyciela twórczości Mickiewicza należy mu się też najślusniej.

Prócz tego zabiegał Wł. Mickiewicz jeszcze o dalsze pokłosie. Z ust przyjaciół Ojca, kolegów i przygodnych znajomych jego zanotował całe mnóstwo szczegółów, odezwań się, sądów i t. p.; co bliższych jego znajomych namówił, że spisować zaczęli sami swe o nim wspomnienia; tą drogą doszły do skutku bardzo cenne publikacje pamiętnikarskie Zaleskiego i Lenartowicza.

Ponadto wreszcie wysiłkiem własnym, z ubogą swą emigrancką kaletą zabiegał o zebranie z gazet polskich i obcych całej prawie literatury drukowanej o Mickiewiczu, skupiał pamiątki, wizerunki, rozproszone książki z biblioteki Ojca. Poprostu sam jeden wystarczył za instytucję. Na swoich li tylko barkach, bez subwencji i pomocy, pracą całego życia wydzwignął muzeum i archiwum Mickiewiczowskie w Paryżu, otworzył warsztat pracy nad twórczością Mickiewicza i nad jego epoką dla wielu generacyj pracowników.

Z warsztatu tego korzystał przecież nie ostatnio i sam przy budowie wielkich swych konstrukcyj biograficznych o Ojcu.

Trzem z pośród nich należy się tu szczególniejsze uwzględnienie. W roku 1888 wydał Wł. Mickiewicz jednotomową francuską monografię *A. Mickiewicz, sa vie et son oeuvre*. Jest to fundament znajomości Mickiewicza zagranicą, zarazem, po próbach Małeckiego i Estreichera, pierwsza wogóle należyta monografia o poecie. W dwa lata po niej zaczęła się ukazywać monografia polska, ogromne 4-tomowe dzieło o przeszło dwóch tysiącach stron; oczywiście nie przekład poprzedniego, ale rzecz nowa od gruntu, budowla o wymiarach niebywałych.

Zaznaczmy znowu: nie można do tej pracy przykładać miary wyłącznie artystycznej, nie można jej mierzyć żadnym ustalonym kanonem. Jest to dzieło jedyne w swym rodzaju. Próznobyś tam pytał o umiar, o przejrzysty plan architektoniki, o oś główną, o jednolity zarys pewnej, konsekwentnie przeprowadzonej koncepcji postaci. Nie o to autorowi chodziło. Unikał on celowo wszelkiego subiektywizmu, nie chciał dawać własnych sądów i oszacowań. Odtworzył więc możliwie wiernie cały przebieg życia Ojca, dał właściwie najszczegółowszą kronikę biograficzną; tytuł przystaje tam dobrze do treści: *Żywot A. Mickiewicza*.

Ale poza kroniką — czegoż tam niema! Mnóstwo surowego materiału, ogłoszonych tam poraz pierwszy poezyj, listów, przemówień samego Mickiewicza i takich, co się do niego odnoszą. Ponadto ogromna ilość wskazań bibliograficznych, sądów o Mickiewiczu i jego utworach, wynotowanych z dzieł i czasopism bynajmniej nie polskich tylko. Cała naprawdę encyklopedia mickiewiczowska, bogata, niezaprzeczona do dziś dnia kopalnia szczegółów, istny „bróg, ale co krok to innego zboża“.

Mimo tej przestronności brak przecież dziełu części integralnej. Jak się już wspomniało, autor na uboczu zostawił analizę estetyczną utworów, uzasadnienie sądów o nich jako o dziełach sztuki. W monografii o poecie wydaćby się to mogło defektem organicznym. Rzecz szczególna, że tak jednak nie jest, defektu podobnego tam bynajmniej nie odczuwamy. Łatwo się bowiem zgodzić, że do takiego ujęcia zadania, jakie mamy, przywiodły autora nie tylko skłonności indywidualne, ani też jedynie charakter rozporządzalnego materiału. Wiódł go w tem arcytrafny, najszcześniejszy instykt właściwej prawdy, nakaz wewnętrznej harmonji z istotą traktowanej rzeczy.

Przecież ostatecznie, co jest w Mickiewiczu największe, to nie dzieła, to nie literatura, ale ten typ pełnego człowieczeństwa, ten kształt „człowieka wiecznego“, który on sam sobą, życiem swem najwspanialej ucieleśnił, tem się ponad naród wywyższył jako uosobiony król- duch rodu polskiego. Może kiedy i sprawdzą się, z podobnego właśnie dostrzeżenia zrodzone słowa A. Górskiego: „Przyjdzie czas może, że *Dziady* nie będą czytane, że *Pana Tadeusza* pył pokryje; ale poemat jego żywota zawsze mieć będzie władzę nad duszami. Jest w nim bowiem radosny trud ekspiacji“. Otóż tę to właśnie istotę rzeczy wyczuł już i w dziele swem mimowoli może wyraził Wł. Mickiewicz.

Więc jeżeli była tu mowa o żywotnym, twórczym jego stosunku do literatury, także do literatury własnego ojca, to o to właśnie chodziło przedewszystkiem: *Żywot A. Mickiewicza*, naczelne dzieło jego syna, nie jest li książką do czytania, do studjów bibliograficznych; jest pozycją twórczą w dziejach polskiej kultury. Od życia wychodzi i wzywa do życia. Stawia nam przed oczy uroczy kształt w głąb i wszerg pełna ujętego człowieka syntetycznego, ducha królewskiego, nowoczesnego człowieka-Polski. Stawia jako upomnienie i jako wezwanie.

Otóż te właśnie żywe, aktywne wartości

ducha Ojca obchodziły Wł. Mickiewicza stale i nadewszystko. Stąd również wyszło, że dalsze swe wielkie dzieło, szczegółową, trzytomową monografię jednego momentu działalności, poświęcił on nie *Dziadom*, nie *Panu Tadeuszowi*, ale Legjonowi Mickiewicza z r. 1848. Dzieło to, rozpoczęte przed laty, nie doczekało się należytej uwagi w Polsce, co wywołało rozgoryczenie autora, jakże charakterystyczne: „Kiedy wynajdą nowy wierszyk Ojca o kartoflach, — mówią — piszą, o tem obszerne rozprawy. *Legjon* wyszedł trzydzieści lat temu, i dotąd pokryto go milczeniem“. W oczach syna Mickiewicza z r. 1848, Mickiewicz wiodący do walki o wolność, był dopiero prawdziwym Mickiewiczem.

Oceniając całą puściznę historyczno-literacką Wł. Mickiewicza, można powiedzieć krótko: — takiego właśnie Mickiewicza odtworzył on najpełniej i takiego przekazał wiekom. W tem jego zasługa najwłaściwsza i największa.

Dzieła tego Wł. Mickiewicz dokonał spełną, odejść więc mógł ze świata w spokoju, z przeświadczeniem, że życia nie dał na marne i że go nie miał zamała. Jeżeli dzisiaj żegnamy z żalem tego utrudzonego ze wszech miar żniwiarza, to nie dlatego, żeby odszedł z połowy ładu; dożał go bowiem do końca. Chodzi o co innego. Sciska się nam serce na myśl, że odszedł chyba ostatni, co znał Adama Mickiewicza żywego, co obcował z nim bezpośrednio w dni powszednie, ale i czasu wielkich przedsięwzięć, co nie tylko biegał mu po tytoń i gazety, ale zahaczał w rozmowach z nim o głębie jego twórczości i posłannictwa. Żywe ogniwo czasów pękło. Już się nie dowiemy z niczyich ust, już nie zobaczymy oczu co patrzyły same na to, jak się w tej czy owej chwili dojrzałego życia zachował ów co widnieje nad narodem jako „kochanie wieków“. Ze śmiercią ostatniego ze świadków, Wł. Mickiewicza, zostały nam dla rozeznania spraw tych już tylko pamiątki i groby. Żywy głos przebrzmiał i uciekł. W tem bodaj źródło melancholji najgłębsze.

Stanisław Pigoń.

Lotos.

Sród cichych Nilu wód,
Piękny jak pałac złud —
Królewski lotos kwitł..
A jasny promień słońca
I lazur nieb bez końca
Pieściły biały kwiat..
Nie śnił o rosy łzach,
Nie czuł — co ból, co strach —
Bo zimne serce miał..
Kochanką gwiazdka była
Co w nocy nań patrzyła —
Tak czule z górnych sfer..

.....
Izydy boskiej synem był,
Tak długo jak Oziris żył —
Gdy zmarł — powłókł się
[kirem Nil..

J. Zaleski.

Ostatnia idylla.

Trzask klucza we drzwiach zbudził mię z rannego snu. W pokoju mrok był zupełny. Grudniowe słońce nie zdążyło jeszcze ukazać się ponad ziemią.

Z przedpokoju dochodziło mię człapanie miękkich, zniszczonych pantofli.

Za chwilę światło elektrycznej lampy rozjaśniło sypialnię, a na jej progu ukazała się drobna postać p. Szymonowej.

Od dwóch lat była ona opiekunką mojego „home“, niewiastą opatrnościową samotnicy. Ranne jej wejście powiadomiło o tem, że trzeba wstawać, by śladem dni ubiegłych iść do żmudnej pracy biurowej. Cicho, człapiąc pantoflami przesuwała się po mieszkaniu, przyrządzając śniadanie, trzępiąc ubranie, meble i czyszcząc posadzkę. Nieraz patrząc jak pochyłona zawzięcie drobnymi pomarszczonemi rękami czyści suknem każdą tafelkę posadzki, robiłam sobie wyrzuty, że ja w pełni sił i zdrowia o wiele łatwiejszą mając pracę, nie mogę zdobyć się na taką pogodę jak ta starowina, że pozwalam na to by ona tak ciężko pracowała.

Powiedziałam jej to pewnego dnia. Oburzyła się niemożliwie.

— Co to pani mówi, niby ja tak pracuję.

Nie widziałaś pani chyba ciężkiej pracy?

Ta jaż wdową została po mężu w dwudziestu siedmiu latach. Majątku nijakiego, jeszcze i długi były, bo nieboszczyk długo chorował, a potem i pochówek kosztował i na Mszę Śtą dać trzeba było i na podzwonne. A dzieckoż ja miała, dziewczynkę pięcioletnią. Wtedy to ja pracowała od świtu do nocy i przy balji i przy żelazku i posługi brała. A taki wszystkimu podolała, długi popłaciła, córkę wychowała, do szkoły ją posyłałam, niechaj myślę, nie będzie taka ciemna i głupia jak matka.

A potem to do szycia ją dałam.

— To teraz córka powinna p. Szymonową utrzymywać rzekłam.

— Moja pani a toż u niej mieszkam, ładna była dziewczyna i poszła dobrze zamaż. Bogu dziękować, za elektrycznego majstra. Sliczną mają kwatere, aż trzy pokoje na Piekarskiej ulicy, on dobrze zarabia, a ona szyje.

Dziatek u nich dwoje. — A jaką kanapę mają! duża, taka rozłożysta, takim repsem czerwonym, wyciskany w kwiaty kryta. I serweta sukienka wyszywana na stole.

Tak jak u p. radey z przeciwnika.

Uśmiechnęłam się słysząc o tych splendorach, znowu pytałam dlaczego mając córkę tak zamożną pracuje. Przecie i w domu znalazłaby zajęcie.

Pokręciła głową.

Trudno moja pani, oni młodzi potrzebują dużo dla siebie. On lubi dobrze zjeść, z kompanją zabawić się, ona młoda, ładna chce się ubrać i dziatek dwoje jest. Starej matki nie gnają z domu, Boże broń. W bokówce, koło kuchenki mam swoje łóżeczko i kuferek, na oczy im się nie nasuwam, jak czego potrzeba,

to posłucham i posłużę, a nie to w swoim kątku Boga chwale.

Ale utrzymanie to już chyba córka daje?

— A to poco? — Mam swoich parę groszy, to sobie zawsze coś w garnuszczyku zgotuję. Wiele mi to trzeba. — A śniadanie pani mi dajesz.

Słuchając tych opowiadań, przypominałam sobie wdowę z Balladyny, i ta jak tamta, złego dziecka nie miała serca oskarżać. — Mimo wszystko jednak ile razy wspomniała o pięknej i bogatej córce cień smutku zasłaniał jej oczy.

Dziś jednak p. Szymonowa wydała mi się inną, niż zazwyczaj. Poorane zmarszczkami policzki jej pałały, małe zawsze rozczerwienione oczy, błyszczały jak dwa zużle.

— Cóż tam słyhać, p. Szymonowo? zapytałam przeciągając się leniwie.

— Nowina, proszę wielmożnej pani i jaka jeszcze! — Wymówiłam sobie, by mię żadną wielmożnością jak to było w zwyczajach we Lwowie, nie zwała, ale w chwilach wielkiego podniecenia inaczej nie mówiła. Nowina!

— Cóż to? mówcie?

— A no toż ja dziś miała spotkanie i jakie. Idę po Piekarskiej aż tu jakoś wpół drogi mijają mnie jakiś pan.

— Chyba to się codziennie zdarza, i nie raz i nie dwa, zaśmiałam się, od końca Łyczakowa do Lelewela spotyka p. Szymonowa nie jednego pana.

— O, to jedno do drugiego nie niema. Mówię pani, mijają mnie jakiś pan, prawdziwy pan w celindrze na głowie i przy dwóch dewizkach.

A takie łańcuchy grube!

— Że też to p. Szymonowa dojrzała, w mroku.

— Jakże bym nie dojrzała, toć że to było pod latarnią. — A tu on i przystanął. Celindra uchyla, ta od razu do mnie.

— Dzień dobry pannie Marcjannie, tak ja i stanęłam. A on się uśmiecha i znowu dzień dobry daje.

Alem się już opomniała.

— Nie mam przyjemności, mówię.

— Jak to? p. Marcjanna mnie nie poznaje?

— Proszę pana, mówię, jestem porządna kobieta.

— Ja o tem dobrze wiem, ale p. Szymonowa przypomina sobie Franka, co to kiedyś do niej chodził? jak była jeszcze p. Marcjanną?

Aż przystanąłam. Onże by to był, ten murarczyk? A ot stoi przedemną, w celindrze z dwoma dewizkami taki pan i śmieje się.

— Ot niechciała Franka p. Marcjanna, niechciała. Poszła za innego, a chłopiec aż na Węgry pojechał. A teraz tu wrócił.

I ot my spotkali się.

A potem to szedł zemną kawał drogi, bo aż do Batorego. Wstyd mi było trochę, taka baba owinięta chustką i taki pan w celindrze, a on nie, tylko pytał o mnie różności, a na końcu to gada:

— A gdzieby ja mógł p. Szymonową spotkać, tak coś pogadać.

— Jak to, mówię, gdzie? mieszkam przy córce zamężnej, tam zawsze może pan przyjść. Tak onże wziął adres i powiedział, że jutro o jedynastej przyjdzie.

Nazajutrz była niedziela. Zapowiedziałam więc p. Szymonowej, by nie przychodziła. Poradzę sama ze wszystkim. Niech się przygotowuje na przyjęcie gościa.

Rozpromieniła się radośnie i zawzięcie zabrała się do porządków.

— Już ja tak wszystko przygotowuję i oprzątnę, że wielmożna pani i zdziebka się nie zmęczy.

W poniedziałek rano p. Szymonowa zjawiała się o zwykłej godzinie, była jakby odmieniona, odmłodziła, wyprostowała się cała, figlarny uśmiech pojawił się na jej ustach, oczy miała wesołe, radosne.

Przypadła mi do rąk i całując je mówiła urywaniem głosem.

— Niech się pani nie śmieje, ale to jakiś cud, on że chce mnie brać za żonę? Moja pani kochana, po tylu latach wrócił i mówi, że nigdy innej żony brać nie myślał.

On ten pan, i taką biedną, starą kobietę chce wziąć.

— A ileż p. Szymonowa ma lat? zapytałam, może nie taka stara jeszcze, tylko spracowana?

Zafrasowało ją moje pytanie. Spuściła oczy i po chwili szepnęła.

— Oj że stara, to stara, sześćdziesiąt trzeci rok poszedł mi 1-go grudnia. Powiedziałem to jemu wczoraj jak mi się oświadczył, a on tylko ręką machnął.

— Wolę ja, mówi niby onże, stara, co będzie o mnie dbała, niż młodą, coby się za innymi oglądała.

Była więc p. Szymonowa narzeczoną i co rana, moc miała rzeczy do opowiadania. Jakto p. Franciszek jest wesół i prześcipny, jaką kielbasę krakowską przyniósł wczoraj do arbaty z rumem. — Wiedziałam, że nie był on żadnym prostym murarzem, ale podmajstrzym murarskim i niech ino minie zima, to roboty będzie w bród. Biedy, jak zapewniał, żona jego nie zazna.

Pomimo to, p. Szymonowa zapowiedziała mi, że przysługę u mnie zatrzyma. — Nie miło to za każdym groszem do mężowskiej kieszeni zaglądać. Przyznałam jej zupełną słuszność, a że i mnie taki układ dogadzał, byliśmy obie zadowolone.

Tymczasem w każdą niedzielę i święta uważałam za obowiązek zwalnianie jej od przychodzenia do mnie. Wszak przed ślubem, który miał być w połowie stycznia, nie jedno było do przygotowania.

Uroczystość Trzech Króli przypadała w sobotę, a nazajutrz w niedzielę miały wyjść pierwsze zapowiedzi.

Oczekiwałam w poniedziałek obszernego sprawozdania. Tymczasem narzeczoną przyszła cicho i nie mówiąc, zabrała się do porządków. Czulałam jakąś katastrofę, nie śmiałam jednak o nic pytać. W zaciśniętych ustach starszki był ból.

We wtorek sama zaczęła.

— Bo to, proszę pani, już i mieszkanie było wynajęte, ładny, jasny pokój i kuchnia, przy nim jak się patrzy, i stół jasioniowy, i parę stołków wstawiono, no i ja parę swoich garnków i patelnię zaniósłam. Umówiliśmy się, że w niedzielę damy na zapowiedzi, a że tu on w sobotę mówi, że można by ten ślub, sakrament, moja pani, odłożyć na potem, ażebyśmy sobie ot tak tylko razem mieszkali. Myślałam z początku, że tak żartuje, choć ten żart przystojnym się nie wydał, ale nie, on naprawdę tego chciał. Moja pani, onże mnie, porządna kobietę co każdemu śmiało spojrzeć może w oczy na taką drogę chciał poprowadzić. Wstałam i wyszłam z pokoju do swego kąta, tylko córce kazałam mu powiedzieć, że go na oczy już widzieć nie chcę. Tak mówiła p. Szymonowa, a patrząc na nią doznawałam dziwnego wrażenia.

Cała jej postać malała, kurczyła się i na tle jasnego pokoju robiła wrażenie jakiejś małej szarej plamy. Ze spłówiających oczu popłynęły po zmarszczkach żłobiących twarz dwie ciężkie, bolesne łzy.

— I garnki moje tam zostały, szepnęła, ale co to wszystko znaczy.

Idylla była skończoną.

M. R.

Przyjdzie taki dzień...

*I przyjdzie taki dzień jesienną smutną porą
Gdy będziesz tęsknić znów do dawnych, dawnych
[dni...]*

*Złe losy złudzeń czar i szczęście ci odbiorą.
I przyjdzie taki dzień jesienną smutną porą...
Gdy dawnych wspomnień rój omota duszę chorą
Rozwianych marzeń czar i nieprzeżnione sny
Do ciebie wrócą znów jesienną smutną porą
Gdy będziesz tęsknić w łzach do dawnych, daw-
[nych dni...]*

W Trokach.

Rozpalona tarcza złocistego słońca, zmęczona całodziennym wznoszeniem się do góry, powoli zniżała się ku zachodowi, powoli zapadała za borem, wydłużając cienie sosen i krzewów. Purpur zorzy wieczornej, zlawwszy się z zielenią szczytów boru, tworzył na widnokręgu jasnofioletowe pasmo. Dokoła wszystko otulało się przezroczystym welonem uroczystej ciszy wieczornej...

Płochy wiatr wykradłszy się chyłkiem z oczeretów i szuwar przybrzeżnych, jał lechtąc spokojną lustrzaną toń jeziora, zawodząc murmurando podsluchaną pieśń wajdeloty. A spłoszony nagłem ukazaniem się zdziwionej, bladej twarzy księżycy, schronił się pośpiesznie do swego ukrycia.

Ruiny starodawnego zamku na tle ciemni nocy zarysowały się wyraźniej, olbrzymiały — zdawało się zbliżały do siebie, opowiadając szeptem tłumionym o tem co widziały — a czego już nie obaczą.

Na prawo usadowiwszy się wygodnie na wysokich kolumnach, ogromny biały pałac w skupieniu poważnym nadstawiał uszu, usiłował zrozumieć nieznaną mu mowę ruin zwietrzałych. Nad jeziorem unosiły się opary nocne, niby powiewne postacie Żywili i Poraja...

I wiatr w oczeretach i szuwarach jeszcze mruzczał podsluchaną pieśń wajdeloty...

A poranek, spłoszywszy niecheący czary nocy, zarumienił się wstydliwie i przeproszał śpiewem i rozhoworem ptasim.

Słońce znowu, by król Syzyf, wracało do swej ustawicznej podróży...

J. Zaleski.

Oryginalne album zmarłej pisarki W. Z. Kościałkowskiej.

W Literaturze naszej zamało się zwraca uwagi na dawne i nowsze albumy pamiątkowe, sztabuchy, imionniki i t. p. nierzadko spotykane w prywatnych domach inteligencji zamieszkałej u starszej generacji artystów i literatów i t. d. Natrafiamy częstokroć i w Wilnie na tego rodzaju pamiętniki, najczęściej naukowo nie wyzyskane jak np. albumy: znakomitego gitarzysty M. Sokołowskiego, obywatela Dłużniewskiego, ś. p. artysty malarza Jana Zienkiewicza, Dr. Eustachego Wróblewskiego, Władysława Niewiarowicza — Tysiewicza i t. d.

Bardzo ciekawe są tego rodzaju zabytki z epoki „Empire'u”. Napotykamy w nich nieznanne wiersze poetów i rysunki artystów malarzy, obok charakterystycznych, różnej wartości plodów muzy amatorskiej i stylowych bardzo wdzięcznych niekiedy obrazków, winjet, laurków, wycinanek, nut i t. p. wykonanych częstokroć interesująco przez dyletantów przyjaciół posiadaczek lub posiadaczy odnośnych albumów.

Do niezmiernie rzadkich osobliwości tego rodzaju należy niewątpliwie album wachlarzowe ś. p. Wili Zyndram — Kościałkowskiej, o której obszerne pisał w tych dniach „Dziennik Wileński”.

„Ileż pięknych tu imion, świetnych imion

[tyle,

Sfrunęło na ten wachlarz jak barwne

[motyle,

Na liść palmy w mistycznym zdradzonej

[salonie...

Oto początek wiersza, który ośmieliłem się skreślić na tym wachlarzu na skutek żądania jego szanownej posiadaczki przed czterema laty. Istotnie niepospolite to album zawiera takie imiona pisarzy jak J. I. Kraszewski, Henryk Sienkiewicz, Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Adam Asnyk i wielu, wielu innych, tudzież mistrzów pędzla jak H. Siemiradzki prof. Gierson, K. Alechimowicz i t. p.

Wachlarz wykonany w drzewie i kartonie łącznie ze zdobiaczami go akwarelami rysunkami i autografami przedstawia niezmiernie efektowną artystyczną i oryginalną całość. Ś. p. Kościałkowska ofiarowując przed laty dary

swoje do Muzeum nauki i sztuki na ręce kreślącego te słowa, jako kustosza, oraz do zbiorów Tow. Przyjaciół nauk złożyła za pośrednictwem kuzyna swego czcigodnego prof. St. Kościałkowskiego wyżej pomieniony wachlarz. Godzi się przeto zwrócić uwagę literatów na to piękne album, gwoli spopularyzowania w piśmiech ilustrowanych również i zawartych w tym wachlarzu ślicznych obrazków. Sądzymy, że przeciwko temu nic by nie miał i szanowny kierownik Zbiorów Tow. Przyjaciół Nauk.

L. U.

W mahoniowej toaletce...

W mahoniowej toaletce
Na dwie skrytki sygnet mały —
Oto wszystko co zostało
Po prababce mej Anetce
W mahoniowej toaletce.

Jeszcze... zółkły karteluszek,
Zblakłych liter szereg cały —
Dwa francuskie madrygały,
I zeschnięty w proch kwiatuszek.
Oto wszystko co zostało
Po prababce mej Anetce
W mahoniowej toaletce..

Było to za króla Stasia,
(W czas polskiego rokoko)
Gdy się zjawił na salony
Wicehrabia de la Vaux...
Cóż za sukces miał wspaniały!
Wszystkie szpice poszły w ką...
Wszystkie damy oszalały...
Oczarował je Vicomte!

Babcia Andzia serce miała —
(Na sygnetcie widać znak)
Więc z uśmiechem je oddała,
Bo prześlicznie prosił tak.
Wiersze... schadzki... i supiry...
Długi szereg słodkich dni...
W skrytce lube suweniry,
Na paluszkach sygnet lśni...

Zwiędły wieńce i rumieńce,
Tamto wszystko poszło w ką...
Dzisiaj niktby nie powiedział
Że był wówczas ów Vicomte,
Gdyby nie ten pierścień mały,
Nie te różyczki listki dwa,
Nie te czułe madrygały —
To, co krótką chwilę trwa...

Żył był wówczas pan Kościuszek,
Książę Józef... jeszcze kto...
W skrytce — tylko karteluszek
Od Vicomta de la Vaux...
No, i serce na kamieniu
W złotym małym tym pierścieniu.
Oto wszystko, co zostało
Po prababce mej Anetce
W mahoniowej toaletce...

Stanisława Świętorzecka.

Z nowości wydawniczych.

Stefan Glixelli. *La France et Les Lettres Françaises*. Première Partie avec 30 gravures. Joseph Zawadzki, Éditeur, Wilno 1926.

Do rzadkości należą u nas podręczniki szkolne, pisane przez profesorów uniwersytetu. Można nad tem ubolewać, gdyż ułożenie, dobrego podręcznika wymaga nie tylko znajomości zasad metodycznych i programowych, których w pierwszym rzędzie nabierają przez dłuższą praktykę profesorowie gimnazjalni, ale i głębokiej wiedzy, której przedewszystkiem należy oczekiwać u profesora uniwersytetu, oddanego zasadom wyłącznie studjom naukowym. Dla oka wprawnego w najbardziej elementarnem przedstawieniu rzeczy widoczne jest, czy pisał książkę człowiek nauki, znający przedmiot z bezpośrednich badań, czy też tylko mniej lub więcej zręczny stylistą. We Francji tak wybitny historyk, jak *Lavisse*, nie wahał się na krótki czas przerwać swe dociekania naukowe, by ułożyć dla szkół powszechnych historję elementarną, książeczkę dla dzieci, „*pour les enfants de 9 à 11 ans*” i opowiedzieć w niej na kilkudziesięciu stronicach, w jak najprostszycch zdaniach, historję od czasów egipskich do dni dzisiejszych. Przedstawienie rzeczy w tej książeczce jest prawie że dziecinne, a jednak czuje się, że pisał ją wielki historyk.

Mamy też i my kilka dobrych podręczników szkolnych, pisanych przez profesorów uniwersytetu. Nikt nie zaprzeczy, że podręczniki dawniejsze: Tarnowskiego i Małeckiego, nowsze: Chrzanowskiego, Wojciechowskiego, Romera, Pawłowskiego i Sinki przyczyniły się w wielkiej mierze do podniesienia poziomu naszego szkolnictwa średniego, a przez to i naszego ogólnego poziomu kulturalnego. Z przyjemnością też należy powitać nową książkę p. Glixellego, profesora filologii romańskiej na tutejszym uniwersytecie przeznaczoną do użytku klas siódmych w szkołach średnich. Prof. Glixelli uczył dawniej w szkołach średnich i nawet później nie tracił z niemi kontaktu, a że jest równocześnie wybitnym znawcą swego przedmiotu, miał więc wszelkie warunki, by ułożyć dobry podręcznik.

Naukowość autora występuje najwidoczniej w części I-szej, najbardziej oryginalnej i najlepszej. W dotychczasowych podręcznikach wieki średnie traktowano pobieżnie, sądzą, przez analogję fałszywą do podręczników zagranicznych n. p. w Niemczech, gdzie uczniowie studjując średniowieczne piśmiennictwo niemieckie, istotnie nie potrzebują już zaznajamiać się z podobnym piśmiennictwem francuskim. Inaczej jednak rzecz przedstawia się u nas. Nasza literatura jest stosunkowo młoda, sięga ona do wieku XIV-go co najwyżej od XV-go, i nasi uczniowie widzą po upadku wszelkiej literatury rzymskiej olbrzymią pustkę przeszło tysiącletnią. Tę pustkę może częściowo wypełnić poznanie, choćby powierzchowne, oryginalnej literatury starofrancuskiej.

Drugim motywem, przemawiającym za większem uwydatnieniem wieków średnich, jest

dzisiejsze zapatrywanie, że uczy się nie tylko obcego języka, nie tylko obcej literatury ale i obcej kultury. To też podręczniki odpowiednie noszą znaczenie szersze tytuły niż dawniej. Nie brzmią one: „*La littérature française*” „*Les écrivains français*” lecz „*La France*” lub „*La France et Les Français*” lub wreszcie, jak w książce omawianej „*La France et Les Lettres françaises*”. Stanowisko to obowiązuje i jeżeli nasze szkoły mają poznać Francję w jej dziejowym rozwoju, nie mogą pomijać wieków średnich, stanowiących obok XVII w. i czasów napoleońskich, szczytowy moment rozwoju Francji.

Wreszcie przemawia za tem i ta okoliczność, że dla chłopca i dziewczynki 16 letniej przemawiają o wiele łatwiej poematy bohater-skie, legendy bretońskie i żartobliwe opowiadania, niż wielcy klasyczni pisarze XVII w. których zrozumienie wymaga dojrzałego sądu i wyrobionego smaku, nie mówiąc już o tem, że wogóle Polacy, z rozmaitych przyczyn, rzadko kiedy są w stanie naprawdę odczuć i zrozumieć wartość klasyków francuskich.

Prof. Glixelli, kierując się widocznie podobnymi motywami, poświęcił stosunkowo wiele miejsca wiekom średnim, bo 66 stronic na ogól-ną ilość 160-ciu stronic, z zadowoleniem też, przypuszczam, każdy nauczyciel zobaczy w nowej książce piękne urywki „Pieśni o Rolandzie”, „Powieści o Tristanie i Isoldzie”; ustępy o Lancelocie i Parsywalu, wreszcie dłuższy wyjątek z komicznej powieści o lisie (*le roman de Renard*). Wszystkie ustępy podane są w znakomitych przekładach lub przeróbkach na język nowożytny, dokonanych przez takich mistrzów jak *Gaston Paris* lub *Joseph Bédier*.

Krótkie ustępy obyczajowe czy historyczno-literackie są dobrane ręką doświadczoną; podają one w jasny sposób ostatnie wyniki nauki, a wiadomo, że prawie każdy rok przynosił w ostatnich latach nie tylko nowe szczegóły, ale nowe, wprost zasadnicze, teorie odnośnie do literatury średniowiecznej. Pod tym względem książka p. Glixellego przewyższa znacznie inne podręczniki.

Podobny podział ustępów zachowuje autor przy omawianiu wieku XVI i XVII-go. Mamy też z jednej strony ustępy, malujące tło dziejów i obyczajów tych wieków, a potem wyjątki charakterystyczne z utworów literackich danej epoki. Dobór ustępów jest zupełnie trafny. Przy urywkach z dramatów *Corneille'a* może autor wpaść w pewną jednostronność. Wszystkie cztery wyjątki (*Le Cid*, *Horace*, *Cinna*, *Polyeucte*) są prawie że monologami i przedstawiają przez to jedną tylko cechę stylu kornelowskiego, mianowicie jego potęgę i krasomówczość. Należałoby, mojem zdaniem, dać choć jeden przykład mistrzowski, ciętego dialogu kornelowskiego, w którym energiczne repliki zderzają się, jak dwa ostre miecze.

Wypisy zaopatrzył autor w wyjaśnienia językowe i rzeczowe, które, na ogół, powinny wystarczyć dla uczniów klas należycie przygotowanych.

W ten sposób powstała książka pożyteczna i żalować tylko można, że nie wyszła ona o parę

miesiący wcześniej tak, żeby Ministerstwo mogło ją polecić do użytku w szkołach na rok 1926/7. Należy spodziewać się, że druga część wyjdzie wcześniej. Wydawca postarał się o szatę zewnętrzną gustowną nawiązując widocznie do dawnej tradycji, choćby tylko w zakresie wydawania podręczników francuskich, że przypomina śliczne wydanie przedwojenne podręczników Octave Classe'a.

A. Ryniewicz.

Zofja Szmydtowa — *Naród wobec tradycji literackiej*. Warszawa 1925; odbitka ze sprawozdania gimn. im. C. P.—Zyberkówy.

Mamy tu bardzo cenny przyczynek do wiedzy o Norwidzie, wykazujący ścisły stosunek twórczości wielkiego poety do poprzedników i współczesnych twórców. Szczegółowo omawia ceniona autorka *iuventia* Norwida i niemal wyczerpuje wpływ Kochanowskiego, Malczewskiego i Zaleskiego na te utwory, podkreślając nie tylko podobieństwa, ale i różnice oraz umyślne przeciwstawianie się Norwida zwłaszcza ideologii Zaleskiego. Następnie mówi p. Sz. o wpływie Norwida na poezję Zmorskiego, wreszcie mniej już wyczerpująco traktuje literackie pokrewieństwa pomiędzy Norwidem, a długim szeregiem twórców, jak to: Homer, Horacy, Dante, („uderza nas samodzielna postawa N. wobec Danta, mimo objawów posłuchu i potakiwania... N. obejmuje dziedzinę, pominiętą przez D. — ziemię“). Dalej mowa o wpływie Szekspira (dość pobieżnie), Byrona, Cerwantesa, wreszcie szerzej omawia autorka echa Pisma Św. W części drugiej książki wskazuje p. Sz. na niektóre zbieżności z poezją Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego oraz Pola, wreszcie reasumuje: „Brał więc Norwid żywy udział w głównym nurcie życia polskiego, przyjmując lub odrzucając to, co inni tworzyli“, tedy jego twórczość „nie jest w literaturze polskiej zjawiskiem obcym, czy egzotycznym“.

Rozprawa p. Szmydtowej jest poważnym wkładem do literatury przedmiotu i niewątpliwie znacznie się przyczyni do znajomości i zrozumienia poezji Norwida.

S. C.

Wydawnictwa Biblioteki Polskiej.

Jan Ptaśnik — *Kultura wieków średnich*; tom I: *Życie religijne i społeczne z ilustracjami*; Warszawa, 1925; str. 304 i 25 ilustracji.

W życiu kulturalnym współczesnym istnieje bardzo silny prąd, nazywany *medjewalizmem*. Jest to kult średniowiecza. Medjewaliści głoszą, że właściwie normalny, jedynie prawdziwy tok życia Europy i świata chrześcijańskiego został od lat 400 skrzywiony i wypaczony przez tendencje odśrodkowe, obce duchowi chrześcijańskiemu. Zarówno odrodzenie, jak i racjonalizm, oraz romantyzm i socjalizm—to prądy kulturalne, spowodujące ludzkość z jedynie właściwej

drogi normalnej ewolucji, z drogi, wytkniętej nam przez samą Opatrzność. W Polsce medjewalizm ma wybitnych obrońców w osobach Mickiewicza i Norwida, zaś współcześnie prof. Zdziechowski bliski jest stanowisku medjewalistów.

Wobec tego szczególnie cenne są studia nad średniowieczem, tak, niestety, ubogie w naszej literaturze. Obecnie wydana książka znanego badacza tego przedmiotu, prof. Ptaśnika, dorzuca ceną pozycję do wiedzy naszej o wiekach średnich. Jest to dzieło oparte przeważnie na badaniach źródłowych obcych, zwłaszcza niemieckich (Höffer, Bernheim, Bühler, Hansen i in.), poczęści zaś francuskich. Zasługą prof. Ptaśnika jest, iż w kanwę obrazu wplata umiejętnie dzieje Polski opierając się na własnych badaniach oraz na pracach Morawskiego, Brücknera, Sokołowskiego, Fijałka i in.

Szczegółowo mamy omówiony kościelny system średniowiecza i jego pojęcia, zwłaszcza takie, jak asceza, oraz choroby społeczne, wynikłe na jej tle. Niedosć może wyczerpująco odmalowany został kult świętych oraz rozwój reguł zakonnych, tak decydujących dla obrazu średniowiecza. Natomiast bardzo szczegółowo mówi autor o różnych wyfalegniach doktryn zakonnych, a zwłaszcza o demonologii, o wierze w Antychrysta oraz o kacerstwie i czarach. Książka nie jest tedy wolna od pewnych tendencji.

Styl żywy, urozmaicony nader ciekawymi przykładami i cytatami, wydobył mnóstwo zajmujących szczegółów, mało znanych szerokiemu ogółowi inteligencji, lub mylnie oświetlanych przez Niemców—protestantów i pseudouczonych rosyjskich, dalej—tok opowiadania barwny i pociągający, stawiający całość dziejów średniowiecza przed oczy, jak żywa, wszystko to pozwala przypuścić, że książka prof. Ptaśnika (raczej ten jej t. I, bo jeden tylko wyszedł dotychczas) przeniknie do szerokich sfer ukształconych. Dodają jej uroku liczne, często przepiękne ilustracje, wydobyte przeważnie z oryginalnych średniowiecznych źródeł polskich.

Marjan Gumowski — *Medale polskie*. Warszawa 1925; str. 230 oraz 34 tablice.

Ciekawa ta i piękna książka omawia przede wszystkim istotę medalu, jako dzieła sztuki, oraz pomnika historycznego wogóle, następnie bada szczegółowo rozwój medalierstwa polskiego od czasów Jagiellońskich. Pożyteczne to dziełko oparte jest częściowo na własnych studiach i poszukiwaniach autora, zaś częściowo się wspiera na materiałach znanych i uzupełnia badania dotychczasowe Czapskiego, Raczyńskiego, Jaworskiego, Zielińskiego, Opałka i in. Uzupełnia książkę spis polskich medalierów oraz fotografie 262 medalów polskich z czterech wieków, z których najpiękniejsze są renesansowe medale zygmuntofskie. Ciekawe też są dość znane medale Oleszczyńskiego z czasów wielkiej emigracji.